TOŻSAMOŚĆ · FELIETON

DEMOGRAFIA TO NIE TYLKO LICZBA DZIECI. CZEGO NIE WIDZI DEBATA?

Arkadiusz M. Wójcik · 11 czerwca 2026

Mówiąc tylko o liczbie dzieci, nie zbudujemy pełnego obrazu dynamiki demograficznej.

Demografia to kwestia złożona, wieloaspektowa, jednak zaskakująco często poprzestaje się na dość powierzchownym jej omówieniu. Przejawia się to w odmienianiu przez wszystkie przypadki tzw. współczynnika dzietności, czyli średniej liczby dzieci przypadającej na jedną kobietę w dowolnie wybranej społeczności lokalnej (miejscowość, jednostka samorządowa, grupa etniczna, naród). Oczywiście artykuł publicystyczny nie jest odpowiednią formą do prowadzenia pogłębionych analiz statystycznych. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na jeden z rzadko (lub wcale?) poruszanych aspektów matematyki demograficznej.

Trójnia Nowa kontra Czwórnia Stara

Aby uczynić niniejszy artykuł bardziej przystępnym, zacznę od przykładu. Celowo ma on stanowić uproszczenie, aby nie rozrósł się objętościowo. Wyobraźmy sobie dwa miasta, nazywające się – powiedzmy – Trójnia Nowa i Czwórnia Stara. W obydwu mieszkańcy żyją zawsze równo po 75 lat. Przyjmijmy, że w każdym z miast pokolenia następują po sobie jednocześnie, tzn. ludzie danego pokolenia rodzą się jednocześnie i jednocześnie umierają. W Trójni Nowej dzieci rodzą się (jednocześnie, jak wspomniano) mieszkańcom po ukończeniu 20. roku życia i jest ich zawsze trójka. W Czwórni Starej to samo wydarzenie odbywa się po ukończeniu 30. roku życia, ale dzieci zawsze jest czworo. Łatwo można zatem stwierdzić, że dzietność w Trójni wynosi 3, a w Czwórni 4. Wedle konwencjonalnego postrzegania reguł demograficznych, Czwórnia powinna lepiej radzić sobie z zastępowalnością pokoleń. Tymczasem jeśli przyjmiemy początkową populację 100 000 mieszkańców, okaże się, że po upływie 100 lat Trójnia liczy sobie 1 828 125 mieszkańców, zaś Czwórnia 1 400 000! Po 150 latach w Trójni Nowej będzie 4 113 281 mieszkańców, natomiast Czwórni Starej – zaledwie 2 400 000!

Ów może nieco zabawny i wyolbrzymiony przykład ilustruje coś, co zaawansowanej matematyki nie wymaga, ale w znaczący sposób zmienia myślenie o polityce demograficznej w ogóle.

> Być może niektórym wyda się niestosowne przywoływanie takiego porównania, jednak analogia narzuca się sama: wiek posiadania dzieci jest w demografii tym, czym w finansach okres kapitalizacji odsetek.

Przypomnę zatem, że wzór na wzrost funduszy zgromadzonych na lokacie z doroczną kapitalizacją zysku przedstawia się następująco:

gdzie *Kn* to uzyskany kapitał, *K* to wkład początkowy, *p* to oprocentowanie, zaś *n* to liczba lat. Istnienie zmiennej czasowej w wykładniku powyższego wzoru uzmysławia tkwiącą w niej moc. W formie uogólnionej, jeżeli kapitalizacja następuje w okresach innych niż rocznym, należy zmodyfikować *p* do stopy w przyjmowanym okresie, a *n* jest wtedy liczbą okresów kapitalizacji. Analogia nie jest – rzecz jasna – równoważnością. Pieniądze nie umierają po pewnym czasie, można naprawdę założyć, że pojawiają się w ściśle określonych momentach itp. Niemniej konkluzja jest ta sama – dzieci urodzone, gdy rodzice są jeszcze młodzi, znacznie bardziej przyczyniają się do przyrostu naturalnego niż te, które pojawiają się na świecie w późniejszym wieku rodziców. Gwoli ścisłości, dodam jeszcze tylko, że jeśli następuje niż demograficzny (dzietność mniejsza niż 2, w praktyce poniżej 2,1, 2,2, ponieważ nie wszystkie dzieci dożywają pełnoletniości), sytuacja się odwraca, wówczas im późniejsze dzieci, tym wolniej społeczeństwo „się kurczy". Zainteresowanemu Czytelnikowi pozostawiam wyprowadzenie tej zależności we własnym zakresie, jako że opóźnianie katastrofy nie jest rezultatem, który należy pielęgnować. Nie zamierzam także wyprowadzać precyzyjnych wzorów na tempo rozwoju demograficznego narodów, gdyż byłyby one zbyt złożone jak na artykuł z gruntu publicystyczny.

Odniesienie do danych polskich

W świetle powyższych zależności należy ze zgrozą patrzeć na dane GUS-u, które wskazują, że o ile w latach 1980–1990 mediana wieku urodzenia pierwszego dziecka wyniosła około 23 lat (a dzieci w ogóle ok. 26 lat), o tyle np. w roku 2021 było to odpowiednio około 29 i 31 lat! O ile w roku 1990 na matki przed 25. rokiem życia przypadało 44,4% urodzeń, o tyle w 2024 roku – zaledwie 11,4%.

Jako że niższe współczynniki dzietności w kontekście posiadania dzieci w młodszym wieku dają się bronić matematycznie, warto wspomnieć, że przekłada się to także na realne korzyści gospodarcze. Truizmem jest rzecz jasna stwierdzenie, że im większa populacja, tym większa gospodarka, ale pożytków jest znacznie więcej, choć te bywają mniej oczywiste. Przykładowo, model rozwoju społecznego oparty o wcześniejsze macierzyństwo i ojcostwo powoduje zmniejszenie sumarycznej liczby godzin niezbędnej do przeznaczenia na osobę na wychowanie kolejnego pokolenia.

> Z uwagi na wykładniczą mechanikę wieku rodzicielskiego społeczeństwo, którego członkowie zostają rodzicami w młodszym wieku, może ich mieć nieco mniej na osobę, przez co każdy rodzic zyskuje nieco więcej czasu dla siebie. Dlatego kłamstwem czasów współczesnych jest twierdzenie, jakoby wczesne posiadanie potomstwa odbierało czas.

Mało tego – dziadkowie nadal są często w dobrej formie fizycznej i mogą dużo aktywniej pomóc w wychowaniu najmłodszych, niż dzieje się to obecnie. Gdy przeważnie zostaje się rodzicem pierwszy raz w wieku 25 lat, dziadkiem jest się w wieku około lat 50; jeśli natomiast pierwsze dziecko przychodzi na świat, gdy matka i ojciec mają średnio po 30 lat, zostają oni dziadkami jako 60-latkowie. A przecież życie to nie teoria (jak wcześniejszy przykład dwóch miast) – przyjście na świat pierwszego i ostatniego potomka w rodzinie dzieli z reguły kilka, czasem kilkanaście lat.

Niedomagania bieżącego układu społecznego

> Tutaj należy zauważyć, że bieżący model społeczno-ekonomiczny w zasadzie skazuje wczesne ojcostwo czy macierzyństwo na trudny start. Nieprzychylnie patrzy się na tych, którzy zdecydowali się np. odroczyć studia i podjąć wcześniej aktywność zawodową, nie tylko na rynku pracy, ale również w sferze relacji międzyludzkich.

Tymczasem w środowisku studentów dzieci prawie się nie rodzą, niewiele jest również małżeństw zawieranych w okresie nauki na uczelniach wyższych. Wyłamanie się z tendencji szkoła–studia–praca uchodzi nierzadko za przejaw braku ambicji czy wręcz niedomagania intelektualnego. Jednocześnie nadal wiele osób podejmujących studia nie pracuje potem w zawodzie, do którego podczas studiów się przygotowywało (o ile w ogóle w tym kontekście istniała jakaś perspektywa zawodu przydatnego na rynku pracy). Posiadanie „papierka" jest atutem w rozmowach kwalifikacyjnych nawet na stanowiska, gdzie kompetencje nabyte w ramach studiów niespecjalnie mają przełożenie na umiejętności, a raczej traktowane jest to jako „zaświadczenie bycia co najmniej przeciętnie bystrym", niesłusznie zresztą. W rezultacie uczelnie przepuszczają przez siebie coraz więcej ludzi, których wkład w rozwój nauki jest najczęściej zerowy, a na dodatek wykładowcy, zwykle bez doświadczenia zawodowego poza uczelnią, nie przyczyniają się do szkolenia bardziej wydajnych pracowników.

Rodzi się pytanie: po co w ogóle dążenie do jak najwcześniejszego ukończenia studiów przez jak największą część populacji? Kampanie wyborcze lat 90. ubiegłego wieku obfitowały w licytacje na liczbę magistrów. W połączeniu z masową emigracją fachowców miało to druzgocący wpływ na liczbę rąk do pracy w zawodach przemysłowych, tym bardziej że kształcenie historyka czy językoznawcy jest kilkanaście razy tańsze niż kształcenie inżyniera chemicznego czy elektrycznego.

> Może zatem stosowniej byłoby odwrócić inflację dyplomów umiarkowanej przydatności i pomóc młodym Polakom zmienić postrzeganie swojego rozwoju zawodowego i szeroko pojętej ścieżki kariery. Chodzi o to, by nakierować ich ku pracy, dzięki czemu po pewnym czasie można by było się zorientować, kto naprawdę wymaga dalszego kształcenia, aby stać się wysoko wykwalifikowanym specjalistą w swojej dziedzinie.

Młodzi ludzie – będący częścią rynku pracy nie od 24.–25., a od 18.–19. roku życia – mogliby wcześniej poczuć oparcie finansowe, nawet jeśli nie zarabialiby wiele. Sprzyjałoby to także młodszemu zawieraniu małżeństw.

Co możemy zmienić?

Osiągnięcie tego jest – oczywiście – trudne. Można by wprowadzić dolną granicę wieku darmowej edukacji wyższej, np. 28–30 lat. Innym, mniej radykalnym rozwiązaniem byłoby zmodyfikowanie modelu niemieckiego, gdzie do wyników maturalnych z wiekiem doliczane są kolejne punkty do rekrutacji na uczel-

nie wyższe. Wprowadzenie opartego o wiek mnożnika zapewne pozwoliłoby skłonić większą liczbę młodych ludzi do wczesnego myślenia o pracy i rodzinie, a nie do wieloletniego „poszukiwania siebie" na zmienianych wedle uznania kierunkach studiów. Oczywiście można by rozważyć selektywne wyłączenie z owego mechanizmu dziedzin, dla których tego rodzaju wstrząs miałby negatywne skutki, np. dla kierunków medycznych. Trzeba wszelako mieć świadomość, że zalewanie uczelni młodymi ludźmi, które obserwuje się od wielu lat, nie poprawiło stanu polskiej nauki. Przeciwnie – nasze uczelnie wyższe nie słyną z innowacji. Chyba najlepszym tego świadectwem jest to, że młodzież chociażby z innych krajów Unii Europejskiej nie bije się o miejsca na polskich uczelniach i nie uczy się zawczasu polskiego, aby mieć szansę dostać się na nie. To jednak osobny temat.

Skoro już o medycynie wspomniałem, nie bez znaczenia jest też pozytywny wpływ zdrowotny wczesnego posiadania dzieci, nie tylko dla nich samych, ale również dla matek. Ciąże młodszych kobiet są mniej narażone na powikłania (jest o tym mowa w specjalistycznych artykułach medycznych, a tych jest ogromna liczba). Nadto istnieją dowody, że wczesne posiadanie dzieci pozytywnie wpływa na przebieg również i tych ciąż, które ta sama matka nosi w latach późniejszych.

Kolejne kłamstwo czasów współczesnych: przyrost naturalny jest powiązany z dobrobytem. Przestańmy w to wierzyć, nie ulegajmy tego rodzaju narracji. Gdyby rzeczywiście dzietność była związana ze stopniem zamożności, wówczas nie wyprzedzałyby nas w tym zakresie kraje afrykańskie. Przestańmy wierzyć, że można zachętami finansowymi skłonić masowo ludzi do zmiany nastawienia do zakładania rodziny. To pomijalne czynniki, jeśli cały model społeczno-gospodarczy pcha ludzi do kreowania życia jako portfolio potencjalnego pracownika. Czołowego zderzenia z takim postrzeganiem prawdopodobnie nie da się wygrać, ale można powstrzymać najmłodsze pokolenie przed tym, by do reszty oddało się pozycjonowaniu względem rówieśników.

> Dlaczego pisałem zatem o perspektywie wcześniejszego podjęcia pracy? Ponieważ to praca, a nie otrzymywanie pieniędzy z innych źródeł (jak zasiłek od państwa czy wsparcie od rodziny) psychologicznie ma związek z myśleniem o kontroli nad własnym życiem i planowaniem oraz podejmowaniem poważnych decyzji wpływających na przyszłe lata.

Ludzie racjonalnie zakładają, że to, co otrzymują z zewnątrz, bez wysiłku, mogą z dnia na dzień utracić. Tymczasem zawód wrasta w nas i daje przekonanie o możliwości spieniężenia własnych umiejętności niezależnie od zawirowań dziejowych i ideologicznych.

Od przeszłości ku przyszłości

Polityka demograficzna, jakkolwiek prowadzona, będzie jednak tym wydajniejsza, im młodszych dorosłych Polaków będzie dotyczyć. Wiek 18–25 lat to kluczowy okres w życiu człowieka z punktu widzenia rozwoju demograficznego. Tymczasem co najmniej od połowy lat 80. XX wieku kwestii wieku rodzicielstwa nie można nawet powiązać z serią nieudanych rozwiązań. To przedmiot nieistniejącej dyskusji, przemilczanej debaty, walki niepodjętej, ba, całkowitej kapitulacji. Ta zasługuje już nie tyle na krytykę, ile na potępienie.

Piszę o tym w kategoriach walki, ponieważ ostatecznie liczebność narodów nie przestaje mieć znaczenia w ich rywalizacji międzynarodowej. Nie tylko zresztą na coraz istotniejszej płaszczyźnie militarnej, ale i gospodarczej. Nawet mimo wzrostu znaczenia oprogramowania samodzielnie wykonującego zadania mu powierzone (tzw. sztucznej inteligencji) ludzie pozostaną niezbędnym elementem wytwarzania wszelakich dóbr. W kraju kurczącym się populacyjnie nieuchronnie będzie mniej pracowników, mniej przedsiębiorstw, wreszcie mniej wojska, a zatem także mniej inwestycji (również zagranicznych), gdyż kraje podatne na inwazję są postrzegane jako mniej atrakcyjne pod względem lokowania kapitału, rozwijania produkcji etc. (fabryki, centrale logistyczne itp.). Niezależnie zatem, czy spory międzynarodowe, z którymi przyjdzie nam się mierzyć, zostaną rozstrzygnięte przy użyciu pieniędzy i produkcji, czy „żelazem i krwią", tylko państwo prężne demograficznie będzie miało możliwość sprawnego przezwyciężania przeciwności i ostania się jako niepodległy byt.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=pXolcpEknYk

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/demografia-to-nie-tylko-liczba-dzieci-czego-nie-widzi-debata/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć